Czy zając śpi z otwartemi oczyma?

Już od najdawniejszych czasów do dni dzisiejszych urobiło się mniemanie, że zające śpią z otwartemi oczyma. Wspomina o tem grecki historyk, Xenofont, żyjący w wieku V. przed Chrystusem, a później rzymski pisarz Aelianus z końcem II. wieku po Chrystusie, w traktacie swoim „De natura animarum". I dziś jeszcze wielu jest takich, którzy w to wierzą i z ust do ust podają, a również utarło się dawniej przysłowie: Śpi jak zając, z otwartemi oczyma".



PIĘKNE PAROSTKI.

Kto jednak miał sposobność obserwować zająca chowanego w niewoli, ten mógł przekonać się dowodnie, iż zając tak dobrze przymyka w czasie snu powieki — jak każde inne zwierzę.

Że zając spotkany w roli, mimo bliskości kilku kroków człowieka lub psa, mając oczy otwarte leży nieruchomo i nie ucieka, nie świadczy koniecznie i niezawodnie o jego śnie, lecz raczej o jego filozofowaniu i mędrkowaniu, iż o ile się nie ruszy z miejsca, to nie zostanie spostrzeżony i uniknie niebezpieczeństwa.

Nie może on bowiem zawsze i bezwzględnie

zaufać swoim skokom, zwłaszcza gdy nieprzyjaciel znajduje się tuż tuż nad karkiem, gdyż np. rączy chart lub wilk stepowy prześcignie go i z łatwością pochwyci.

Bo czyż można przypuścić, aby zwierz płochy i obdarzony bardzo subtelnym słuchem, otoczony tylu różnorakimi nieprzyjaciółmi i wrogami czychającymi na jego życie, miał sen tak twardy, iżby dał się podejść np. człowiekowi, stąpającemu ciężko i głośno, na odległość tak bliską, lub psu szeleszczącemu w trawach i burzanach, nie zbudziwszy się w czas? Czyż można wierzyć, by na polowaniach z naganką, w kociołkach i t. p. mimo hałasu, nawoływań, odgłosu trąbki, huku strzałów etc. zając spał tak twardo, iż dał się ominąć człowiekowi, lub przybliżyć na kilka kroków ledwo, czasem bliżej, że go kopnąć lub kijem uderzyć można było?

Nie — lecz jest to instynktowny przyrodzony mu sposób omylenia czujności prześladowców, wrodzony mu sposób przebiegłości i mędrkowania, iż nieruszając się z miejsca, przytulony do szarej roli i szary jak rola, zostanie przeoczony i w ten sposób ocali swe życie. A może czyni to z lenistwa, a może ze strachu? Wytrzeszczone jego ślepie, jego skurczona pozycja, przyciśnięte do grzbietu słuchy i głowa, uwidoczniają raczej strach i lęk oraz gotowość do skoku, niż wygodną pozycję w czasie snu i wypoczynku. Trudno bowiem przypuścić, aby zając w ten sposób przepędzał kilka do kilkanastu godzin dnia. Rozciąga się on raczej w swej kotlinie i wygrzewa do słońca w dnie ciepłe i pogodne, wyprostowując skoki i leżąc na brzuchu lub boku— jak to czynią króliki.

Kto polował w polu, ten zapewne zauważył nieraz, iż ruszony niespodzianie na dalszą nawet odległość zając nie wyskakuje z kotliny jak z procy, lecz leniwo, z przykurczonym zadem i spuszczonym omykiem robi kilka krótkich skoków, poczem dopiero, rozglądnąwszy się w sytuacji, z kim ma do czynienia i skąd mu grozi niebezpieczeństwo, zaczyna na dobre umykać.

Jeśli zwierzę oswojone, domowe, kot i pies za najmniejszym szmerem lub szelestem, budzi się ze snu i nadsłuchuje, to cóż dopiero mówić o słuchu zwierzęcia dzikiego, skazanego na samoobronę wśród tak licznych prześladowców i nieprzyjaciół. Ten organ i zmysł zapewne jest pierwszym, który budzi zająca ze snu i każe mu mieć się na baczności przed niebezpieczeństwem. To co się dzieje następnie — jest już rzeczą instynktu zachowczego i indywidualnego. Samce porywają zwykle pierwsze i na dalszą odległość, samice dosiadują twardo— tak jak ma się podobnie rzecz z ptakami, wysiadującemi jaja lub młode, iż je na gniazdach czapką przykryć można, względnie, iż padają ofiarą kos, sierpów i żniwiarek.

O ile ktoś twierdzi o niezamykaniu się powiek w czasie snu zajęcy, opierając się na widoku otwartych powiek u zajęcy ubitych — to również się myli — gdyż spostrzedz się daje fakt podobny i u innych zwierząt i ludzi—gdzie zpowodu suchości gałek ocznych i tężcowego pośmiertnego skurczu mięśni, powieki się kurczą i na oczy nie zapadają.

Tak ważny i delikatny organ wzroku, jakim jest rogówka gałki ocznej, musi mieć ochronę przed pyłem, owadami i ciałami twardszemi w postaci ruchomych, dowolnie zamykanych i otwieranych zasłon, jakiemi są powieki, które ponadto zwilżają i oczyszczają gałki oczne. Takich osłon powiek pozbawione są tylko ryby, skorupiaki i owady.

Dr. H. M.

SOKÓŁ WĘDROWNY.

(*Falco peregrinus calidus*).

(*Dokończenie*).

Bez namysłu i bez zwykłego wstrząsania piórami rzucał się sokół na łup, doganiał go w mgnieniu oka i albo przytrzymywał np. zająca, albo spadał z ptakiem na ziemię. Ptaka zabijał zwykle sam, w ten sposób, że mu krtań wyszarpywał ostrym dziobem. Za chwilę nadjeżdżali w galopie myśliwi, odbierali sokołowi zwierzynę, a jego samego sadowili na berle. Po krótkim wypoczynku zaczynało się polowanie nanowo.

Szczególniejszy urok miały polowania z sokołem na szerokich stepach Ukrainy. Obszary równe, bezleśne, pokryte bujną trawą i różnobarwnem kwieciem, posiadały liczne stadka strepetów, lub kryły w tyrsie mnogie dropie. Tam też mogli myśliwi oglądać z zachwytem wspaniałą robotę swoich łownych ptaków. Nad rozlewiskami stawów i jezior stepowych, porosłych oczeretem, unosiły się stada kaczek, gęsi, żórawi i czapel.

Dla ucieszenia myśliwskich oczu nieporównanym lotem i mistrzowską strategją sokoła, puszcza-

no¯go czasem na samotną, ciągnącą wysoko powietrznym szlakiem, czaplę. Skrzydlaty łowiec, zwolniony z berła, wznosił się szybko w górę, zabiegał czapli drogę i zmuszał ją do zawrócenia z obranego kierunku. Kilka potężnych machnięć skrzydłami i królewski ptak unosił się już nad czaplą, zdziwioną i przestraszoną zarazem jego obecnością. Jedno niechybne uderzenie i sokół wpijał szpony w grzbiet czapli, a ostry dziób w jej szyję. Jak zestrzelony aeroplan spada ruchem spiralnym na ziemię, tak spadała czapla ze strasznym swoim ciężarem na grzbiecie...

Niezawsze jednak polowanie na czaple wypadało szczęśliwie. Stare, doświadczone ptaki próbowały nieraz obrony, w skutkach fatalnej dla sokoła. W tym celu kładły głowę na grzbiecie i ustawiały na niej swój długi i ostry, jak grot, dziób. Sokół, nie mogąc wstrzymać rozpędu, wpadał piersią na dziób czapli, przebijał się i z raną śmiertelną spływał na ziemię, by tam zginąć. Doświadczał tego jednak tylko ptak młody. Sokół stary, gracz nielada, którego bystrej uwagi nie mogła ujść skrytobójczo przygotowana broń czapli, wymijał zasadzkę i nagłym ruchem od spodu chwytał czaplę za gardło. Wtedy nic już nie mogło ocalić jej przed śmiercią... Czyż wogóle mógł być piękniejszy widok dla myśliwego nad tę walkę dwóch mocarzy powietrza? Dobry smak mieli nasi przodkowie, gdy nad wszystkie inne łowy przenosili polowanie z sokołami.



Krośniewice. Jastrząb schwytany w żelazo.

Chodzili więc z niemi na dropie, dzikie gęsi i żórawie; ułożone gołębiarze puszczano na kaczki i cietrzewie, a krogulce na gołębie i przepiórki. Niektóre gatunki sokołów brały jednak każdą zwierzynę. Do takich należały rosłe i silne rarogi. Wymagały te ptaki pieszczot: głaskane, uchylały gło-

wy, rozpuszczały skrzydła i ich trzepotem okazywały swoje żywe zadowolenie. Chcąc się przypodobać człowiekowi, uderzały na każdą, przez niego wskazaną zwierzynę, bo nawet na żyjące niegdyś w stepach antylopy sajgi.

Królowie i książęta polscy, a także magnaci miewali osobnych ludzi, zwanych sokolnikami, którzy trudnili się hodowlą i układaniem sokołów. Śledzili oni pilnie za ich gniazdami, a skoro je znaleźli, czuwali gorliwie nad tem, aby ani starym, ani młodym ptakom żadna nie stała się krzywda.

Ludzie ci, niewolni zwyczajnie, mieszkali po wioskach „sokolnicami“ zwanych. Niektórzy królowie, jak Chrobry, Krzywousty, Łokietek, Kazimierz Wielki i inni, sprowadzali szlachetne sokoły aż z Danji, Holandji i ze Szwecji, płacąc za nie błamami futer bobrowych, kunich lub sobolich, rasowemi końmi, albo srebrnemi grzywnami i złotemi florenami. Pieczę zaś nad niemi powierzali osobnym urzędnikom „falkonarjuszom“, nierzadko z zagranicy sprowadzanym.

Prawo posiadania sokoła miał tak u nas w Polsce, jak i w innych państwach — tylko szlachcic. Tę prerogatywę szlachecką (ius venandi) określały osobne ustawy. Sokolstwo uprawiano, jako sport niezwykle interesujący, z ogromnem zamiłowaniem.

Prawo szlacheckie polowania z sokołami nakładało na ludność pewne obowiązki i ciężary, zwane „angarją sokołową“ (falconatio). Ludność odpowiadała za gniazda sokole, znajdujące się w lesie, musiała więc ptaków strzec, a nawet je żywić, gdy zaś pisklęta ginęły, spadały na ludzi ciężkie kary, niekiedy nawet kara śmierci. Kara taka była może echem podobnych, a srogich ustaw angielskich, wydanych przez króla Edwarda III-go, który wyznaczył karę śmierci za kradzież sokoła, a rok ciężkiego więzienia za wybranie młodych z gniazda.

Były to prawa prawdziwie drakońskie, tem przykrzejsze, że zostawione dowolnej interpretacji różnych łowczych, czyli t. zw. „wenatorów“.

Jak dalece były sokoły miłym przedmiotem ustawodawstwa polskiego, świadczy choćby to, że żądało ono od rzeźników miejskich skaryszewskich, aby ci oddawali wątróbki zabitych zwierząt dla sokołów, a gołębiarzom, aby oddawali książęcym sokolnikom każdego dziesiątego gołębia. W r. 1263 wydał książe kujawski korzystny dla ludności przywilej w odniesieniu do znienawidzonej angarji sokołowej, że poddani mają prawo nie dopuścić zbłąkanego sokoła do swoich lasów, aby tam założył gniazdo, a gdyby ten mimo wszystko gniazdo zbudował, mają prawo drzewo przez niego obrane nawet ściąć i w ten sposób ptaka odpędzić. Widocznie, że na Kujawach ongiś sokoły się gnieździły, dzisiaj już tego nie czynią, bo lasów tam niema.

Ludność wieśniacza, chociaż nie mogła nigdy zdobyć w dawnej Polsce prawa polowania dla siebie, uprawiała je jednak pokryjomu i ze skutkiem na swój sposób; kontrola bowiem była trudna, łatwość polowania wielka, zwierzyny mnóstwo, a ówczesne pojęcia o cudzej własności bardzo prymitywne.

Polowania z sokołami uprawiano już w czasach starożytnych. Na 400 lat przed Chr. bawili się niemi Indowie, Ksenofont zaś podaje nam barwne opisy łowów z sokołami i z jastrzębiami u Persów.

Karol Wielki urządzał wystawne polowania z sokołami, za niszczenie zaś gniazd sokolich wymyślał srogie kary. Cesarz Fryderyk Rudobrody układał chętnie sam do polowania różne gatunki sokołów, a jego wnuk, Fryderyk II, również namiętny myśliwy i sokolnik, napisał nawet po łacinie książkę p. t. „De arte venandi cum avibus“. Niektórzy wielcy panowie włoscy, jak np. margrabia d'Este, miewali w zamkach swoich po 150 sokołów łownych. Do najwyższego rozkwitu doszły polowania z sokołami dopiero przy końcu wieków średnich. Nie było wówczas rycerza, czy to we Francji, Anglji, w Niemczech, czy w Polsce, któryby w chwilach wolniejszych nie trudnił się sokolnictwem. Dawało ono nietylko miłą rozrywkę, ale nawet i duże korzyści materjalne. Przyczyniało się nadto do ożywienia stosunków dyplomatycznych i handlowych. Niejedną niechęć, niejeden groźny zatarg dyplomatyczny wyrównywał sokół, ofiarowany zagniewanemu władcy w upominku. Za sokoły można było nabywać nawet rozległe lenna. Znanym jest gest cesarza Karola V, który oddał był Joanitom wyspę Maltę pod warunkiem, że mu dostarczą co roku jednego białego sokoła.

W XVIII wieku zaczyna polowanie z sokołem powoli wychodzić z mody, najpierw na lądzie stałym Europy, a później w Anglji, w której utrzymywało się jeszcze do połowy XIX stulecia u książąt Bedfordu i w hrabstwie Norfolku u lordów Barnarsów. Natomiast w krainach egzotycznych w Afryce i w Azji, a nawet u Turków europejskich, w Albanji i Bośnji istnieje sokolnictwo do dzisiaj. Najwspanialej jednak jest ono postawione wśród mongołów i tatarów w środkowej Azji: w Chiwie, Bucharze, w stepach kirgiskich, w Dżungarji i w Tybecie. Polują tam na koniach z sokołami i chartami nawet na antylopy.

Ruszonego zwierza doganiają sokoły w jednej chwili, siadają mu na głowie, uderzają w nią dziobami i zatrzymują w biegu, dopóki nie nadbiegną psy i nie uduszą go. Puszczanie sokołów na dropie jest tam w powszechnym zwyczaju.

Na duże zwierzęta, jak np. na dzikie kozy

i owce, polują mongołowie z orłami przedniemi; te już mogą taką zdobycz same zabić.

Za dobrego sokoła oddają mongolscy myśliwi chętnie najlepszego wierzchowca.

Łowy z sokołami urządzano w zachodniej Europie często w towarzystwie płci pięknej; nabierały one wtedy charakteru prawdziwie rycerskiego i przyczyniały się niemało do ogłady obyczajów. O polowaniach towarzyskich dowiadujemy się z pięknej książki De la Curne de Sainte Palaye, wydanej w Paryżu w r. 1759, i o tem także, że panie francuskie oddawały się z namiętnością temu sportowi. Niejedna z uczestniczek niosła na swej małej rączce kochanego myśliwskiego ptaka i na widok spłoszonej zwierzyny wołała na niego namiętnym głosem: „a la vol!", „a la vol!".

Władysław Gürtler.

LITERATURA:

Władysław Taczanowski: „Ptaki krajowe".
St. H. hr. Badeni: „O łowiectwie polskiem w czasach piastowskich". (Przewodnik naukowy literacki). Rocznik XXIV.
Włodz. hr. Dzieduszycki: „Przewodnik po Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie".
Dr. Alfred Brehm: „Ptaki", tom III-ci.
Wł. Mierzejewski: „Ptaki". (Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych ziem polskich). Praca zbiorowa pod redakcją prof. dr. H. Hoyera.



Szlaki przelotu słonek i zachowanie się ich podczas pobytu w Dzikich Polach.

(Dokończenie).

Demarkacyjna lęgowa linja słonek rozpoczynała się o jakie 40 kilometrów od mojej Wierzchowni — przechodząc przez sąsiedni powiat Radomyślski (Kijowskie Polesie). W dobrach Chodorkowskich mych sąsiadów pp. Lewandowskich już napotykało się sporadycznie zagnieżdżające się parki. Warunki u mnie zdawały się być identyczne odpowiadające najwybredniejszym słonkowym wymogom, — a jednak nigdy, nikt lęgowej słonki na naszem i okolicznem terytorjum nie widział! Raz jeden tylko w połowie Lipca, podczas mej konnej przejażdżki — porwała się z krzaku buczyny — ku mojemu zdumieniu — „najprawdziwsza" „scolopax rusticola" — na tychże Żarkach — gromkiem swem „łopotaniem" skrzydeł omal nie spłoszywszy mojej klaczy wierzchowej ze szwankiem dla mej osoby! Oczywiście był to egzemplarz należący do tak zwanych „podstrzałków" — który „volens-nolens" wypadkowo u nas pozostał! Lecz dlaczego? — zdrowy na aparacie lotniczym — jednak nie odleciał do miejsc letnich amorów i wywczasów? A może właśnie tak też i postąpił — gdyż w dniach następnych poszukiwania z legawcem rezultatu nie dały i więcej już jej nie widziałem!

Powrotną jesienną drogę słonki odbywały daleko powolniej — bez porównania dłużej bawiąc w naszych rewirach, niż wiosną. Tradycyjną niemal datę stanowił 10 września (azjatycki) — podobnie, jak w nocy zwykle z 11 na 12 kwietnia dawał się słyszeć pierwszy trel słowika w istnem morzu bzów parkowych. Zwykle już z rana dnia tego lub najpóźniej w dni parę — meldowano mi pierwszą, tak niecierpliwie oczekiwaną słonkę jesienną! Masowy zaś przelot odbywał się w końcu września — okres 20—28 bywał zawsze najobfitszym. Spotykało się je wówczas w lasku każdym, szczególnie w dębinach o podłożu paproci w parkach, kulturach malin i porzeczek, ogrodach warzywnych, sadkach wiśniowych chłopskich — a w dnie dżdżyste, rzetelnym „kapuśniaczkiem" zamydlone — niemal „wypłaszać" można było z rowu każdego obrosłego nieco chwa-

stem lub bodziakami Wieczorami też odbywały rodzaj milczących ciągów — wylatując za żerem do miejsc mokrych, gnojowisk — na torfowiska. Stanowiło to strzały przypadkowe i bardzo trudne! Zaiste w „urodzajne“ lata nasza błogosławiona Ukraina (oczywiście przedbolszewicka) — nie tylko na miano mlekiem i miodem płynącej krainy zasługiwała — lecz i „słonkami latającej“. Prawdziwe Eldorado!

Polowano na ten czas na nie z psem, naganką lub na „wydeptanego“ nawet. Rozkłady bywały od kilku do kilkunastu stosownie do „urodzajności“ roku. Miały też swe faworyzowane laski, miejsca oraz pasma całe uprzywilejowane dla swych przelotów — jako schroniska „odpoczynkowe“. Linja od Kijowa przez Wasylków, Trylisy, Fastów, Łopielnię, Wasylówkę, Wierzchownię, Czarnorudkę, Koziatyn odznaczała się szczególną ich obfitością.

Około 10 października stopniowo zmniejszała się intensywność ich u nas pobytu. Do połowy listopada jednak w jesienie bezmroźne i mokre można je było jednak widzieć. Najpóźniejszą zabiłem w r. 1908 pamiętam 26 listopada, podczas silnego przymrozku (4o Reaumura) z zadymką śnieżną — na rdzawem błotku łoziną porosłem. Była literalnie oblana tłuszczem — widocznie też poszkodowany nieco osobnik. Ale zkąd wtedy ta tusza zdumiewająca — zaiste paskarska?. Jedna jeszcze z tajemnic Przyrody! Najlepsze barometry jesienne — stanowiły słonki na naszych stepowych przestrzeniach. Śnieg rzetelny mógł nieraz spaść — zimowy krajobraz czarodziejskim zamachem stwarzając — słonki jednak nie odlatują, „som“ jak zwykł „Bronio“ mawiać. Pewnym być można było wtedy o przejściowym charakterze zjawiska. Dzień lub dwa—i znowu ciepło! —znowu pogoda i słońce „babiego lata“. Lecz w innym wypadku—blask złotej polskiej jesieni w całej pełni!— łagodny wieczór! — raptem chodząc z wyżłem na wczorajszych terenach z których z tuzin słonek spędzono — dziś jedna lub dwie tylko! Co za okazja? W dobę później — jakbyś wszystkie miotłą wymiótł! — żadnej! Pięciostopniowy przymrozek nocy następnej — kluczem zagadki masowego szybkiego odlotu — do Kinburna, niestety, najczęściej! Są to wszystko niezbite dowody, na ile tajemnicza „Pani“ — wrażliwą jest na wszelkie zmiany atmosferyczne, przeczuwając je z precyzją iście instrumentalną, — jakoteż kierunek wiatrów (obserwowałem zmniejszenie się ilości przy północno-wschodnich). Kwadry księżyca też wpływają. Zwykle nalatywały do nas przy schyłku — odlatując również! Wszystko to jeszcze raz stwierdza nieporównaną Mądrość Przyrody Świętej! Tem droższym się staje dla nas o dziwnych przeczuleniach ptak ten tajemniczy — kapryśny jak ładna kobieta! W pewien piękny poranek tam gdzie go w wigilję „na lekarstwo“ nie było — znienacka się ukazuje — żeby w wieczór mglisty o szarej godzinie, nocą ciemną z hieratycznie wyciągniętym dziobem — lecieć ku nowym horyzontom jako zwiastun nowych emocyj łowieckich — nowym Braciom Myśliwym! — w innych krajach! tembardziej się krwawi serce myśląc o bezlitośnem tępieniu dyskretnych trubadurów, cudnych „dames aux sombres couleurs“— przez dzikich i ucywilizowanych barbarzyńców Wschodu i Zachodu! Tragiczną jest możliwość zakończenia „słonkowego“ życia nie oddanego strzału, na tle piękna otoczenia — w ogromie napięcia nerwów Myśliwego-Poety—lecz czarną nocą u stóp latarni morskiej z roztrzaskaną biedną główką.

* * *

Jakież konkretne kroki mogłyby być przedsięwzięte, celem złagodzenia zła?! Niestety, trudno walczyć z techniką współczesną. Apelacja tu jedynie do Pana Boga, aby raczył jak najmniej ciemnych nocy w okresie przelotów zsyłać! Tępienie rosyjskie — obecnie zdaje mi się strasznem nie jest z powodu braku kompletnego prochu i śrutu u ludności. Chociaż, kto wie? Lecz miną miesiące lub lata! Jakiś nowy europejski system rządów musi nareszcie i w Rosji nastąpić! Wtedy to, koniecznem się stanie poczynienie międzynarodowych kroków odpowiednich w sprawie całkowitego wzbronienia jesienno-wiosennych polowań na „Kosie Kinburna”. Miało to już miejsce co do przepiórek[1]) na wybrzeżach sycylijskich — zbawienne skutki czego dają się już zaobserwować. Miła przepióreczka albowiem przestaje się już kwalifikować u nas do rzędu „ornitologicznych“ rzadkości, jak przed laty kilkoma. Kontakt też koniecznym będzie z prasą łowiecką rosyjską — o ile kiedyś powstanie (a bogatą i rzeczową była bardzo w latach przedwojennych — dość wspomnieć o „Priroda i Ochota“ „Ochotniczyj Wiestnik“ i t. d.).

Odezwę powinien też wydać Centralny Związek Stowarzyszeń Łowieckich do czytelników miarodajnych innych krajów—co do ściślejszego przestrzegania zakazu używania łapek wszelkich i sideł! Przytoczone tu, wytyczne „desiderata“ tylko! Następnie pilne przestrzeganie przez nas samych, Czytelnicy Najmilsi, najdrobniejszych szczegółów mogących uchronić „od zabójstwa“ — gdyż inaczej nazwać to trudno—chociażby jednej samiczki mianowicie: nigdy nie strzelać „milczkiem“ ciągnącej — do zapadających nieraz na ziemię przed

[1]) Zakaz eksportu żywych na rynki Londynu i Paryża — zredukował do zera niemal proces łapania.

myśliwym[1]) (jeśli się nie słyszało jej chrapania przedtem). Nie wybijać na jednych i tych samych ciągach wszystkich co do nogi! (przecież i płeć brzydka, na coś jest potrzebną) polując co wieczór, kalecząc nieraz — rozpędzając zawsze! Nie strzelać na dalekie niepewne mety! — Kiedy to ptak spada, a bez psa odnaleźć nie podobna— często bardzo w skrzydełko „zbarczony"— marnie w męczarniach żywot swój zakańcza. Ostrożnie postępować w lata obfitych jesiennych przelotów na Kresach (Wołyń, Mał. Wsch.). Zdaje mi się, że 5—6 spadłych słonek z pod wyżła lub naganki— może najzupełniej zadowolić pasję łowiecką. Ileż dla nas każdy wieczór na ciągu wiosennym prześniony—ile tężyzny i sił nowych nam daje dla twardej walki życiowej, odrywając nas przepychem swych zórz szkarłatnych i opalem niebios od zgiełku i smutnej neurastenji „Miasta Złego" — jak je tak trafnie nasz kochany Juljan Ejsmond nazywa — że umiejmyż cenić wysoko chwile tych przeżyć błogosławionych! Umiejmyż ochraniać, jako skarb największy — możliwie największy zapas tych ślicznych ptasząt Bożych, których marzące duże oczy, po celnym naszym strzale śród mroków wieczornych w cienie nicości ostatecznie na wieki tak cudnie zapadają! Nawet nie strzelana, a widziana słonka ciągnąca — gdy niknie nam z oczu — ileż rozkoszy sprawia! Mimowoli przy tem ptaku tajemniczym, ptaku szarych, zadumy pełnych godzin wieczornych — na myśl przychodzą słowa cudnej staroświeckiej poezji XVIII wieku—tej epoki w której tak wszystko subtelnie odczuć umiano! Epoki wykwintu Miłości, strojów — obowiązkowego niemal dowcipu i wyrafinowanych form towarzyskich!

[1]) Jak wiadomo jedyny ptak do którego etyka myśliwska dozwala dawać strzał na „wyciekającego".

Salut, trois fois salut, dame aux sombres couleurs!
Voyageuse automnale, a la robe frileuse!
Toi qui crains les grands froids et les grandes [chaleurs!]
D'ou nous vient tu, réponds sombre voyageuse?[1]).

...O kim tu mowa?! o jakiejś wspaniałej, błędnej podróżnej — dumnej „kasztelance" markizie, nieprawdaż?! „Pani" o ciemnych szatach, zapewne Oblubienica średniowiecznego Minstrela — pazika uroczego, któren dziecinnie ledwie rąbek sukni ukochanej odważy się z pietyzmem ucałować?

Nie!... Nasza tylko poczciwa słonka natchnęła Poetę!...

...Dzięki Mu!

Adam hr. Rzewuski.

Orłowo (Pomorze).

[1]) Witaj! po trzykroć witaj, Pani o ciemnych barwach.
Jesienna podróżniczko—w sukni na chłód wrażliwej!
Boisz się równie mrozów i wielkich upałów...
Skąd przybywasz?—odpowiedz, szara podróżniczko.

Wyprawa myśliwska do Abissynji.

6

Towarzysze zabitej przez francuza małpy, zemścili się na człowieku, kamienując go, żywcem.

Gwiazdy już lśniły na niebie i odbijały się w rzece, jak złote, płynące z prądem liście, gdy owinięty w koc ułożyłem się do snu. Znużony byłem, to też usnąłem natychmiast prawie.

Noc przeszła spokojnie.

26.I. Wstaliśmy dziś przed świtem. Pan D., po naprędce spożytem śniadaniu wsiadł na muła, i wziąwszy jednego ze swych strzelców ruszył do Dire Dana w poszukiwaniu przewodnika. Patrzyłem w ślad za nim, jak długo na to pozwalała falistość terenu, oraz półmrok budzącego się dnia; potem, gdy mi już znikł z oczu, dopiłem kubek kawy i skinąłem na strzelca, by mi podał broń. Musu, on to bowiem znajdował się w pobliżu, spełnił życzenie sprawnie, ale bez cienia uniżości. W oczach jego lśnił nawet raczej pewien odcień zuchwalstwa, i przyszło mi na myśl, że być może krwawa opowieść zeszłej nocy przeznaczona była raczej dla moich uszu, niż dla uszu Alego, a celem jej było: wpojenie mi poszanowania dla krzywych somalijskich noży i ich posiadaczy. Plan ten w zupełności chybił; od tego dnia bowiem począwszy, traktowałem Musu bardziej ostro niż jakiegokolwiek innego krajowca.

Słońce wystrzeliło z za wzgórz i stanęło lśniące i ogromne na błękitnem niebie. Spojrzałem na zegarek: minęła szósta. Skinąłem na sagarich, i zarzuciwszy na plecy karabin ruszyłem w prawo

omijając z daleka murzyńską wioskę. Widziałem tam już poczynający się dzienny ruch, obawiałem się jak ognia ciekawości czarnych bachorów. Gdyby im bowiem przyszła nieszczęsna myśl obserwowania moich ruchów, musiałbym albo, wyrzec się polowania, albo stoczyć z niemi formalną bitwę uciążliwą, śmieszną i bez żadnego zadowolenia w razie wygranej.

Przyśpieszyłem kroku i wkrótce dosięgłem dużego szmatu pól obsianych durrą. Jest to roślina zwana także murzyńskiem prosem, uprawiana chętnie przez leniwych krajowców, bo choć mniej smaczna w użyciu od innych zbóż rodzi łatwo, obficie, i bez żadnej niemal ze strony rolnika fatygi. Z łodyg przewyższających zazwyczaj znacznie wzrost człowieka zwisają ogromne kiście, z których jedna daje nierzadko do dwóch funtów ziarna. Że zaś dzięki wyjątkowym warunkom atmosferycznym żniwa odbywają się dwa razy do roku, głód oczywiście nikomu nie grozi.

W Abissynji istnieje znaczna ilość ferm założonych przez Europejczyków. Ci, pogardzając zazwyczaj durrą, jako produktem mało dochodowym, uprawiają przeważnie: jęczmień, pszenicę i kawę. Zyski ich są bezwarunkowo znaczne, o ile plonów nie zniszczy jakaś nieprzewidziana klęska, naprzykład szarańcza, lub długotrwała susza. Kłopot mają jedynie z robotnikami. Abissyńczycy, bardziej sprytni i pracowitsi, do robót polnych i domowych posług nie wynajmują się nigdy, uważając, że jedynem godnem ich zajęciem jest walka z człowiekiem lub zwierzem. Dają też doskonały materjał wojskowy i łowiecki.

Somalisi idą na służbę dość chętnie, mam wrażenie, dlatego, że nie potrzebują się wówczas troszczyć o żywność i legowisko. Bardzo więc chętnie spożywają dostarczany przez białego pokarm i bardzo chętnie śpią w zbudowanych jego kosztem barakach. Ale są bez wyjątku niemal tak bezgranicznie leniwi, że zmuszenie ich do jakiejkolwiek systematycznej pracy jest prawie niepodobieństwem. Najlepszym pracownikiem jest bodaj somalijska kobieta. Dźwigając na swych barkach ciężar robót w rodzinnej chacie, przyzwyczajona do najrozmaitszych posług względem ojca, brata, lub męża, nie szemrze wcale gdy los ją zmusi do słuchania woli białego pana, i pracuje jeśli już nie z zapałem, to w każdym razie sumiennie.

Szedłem teraz przesmykiem, pomiędzy polem durry, a wzgórzami, których zbocza porastały krzewy i kępy traw. Spłoszyłem tu stadko kuropatw i zabiłem jedną z nich łatwym strzałem na kilkanaście kroków. Dym jeszcze nie opadł, gdy przerażona widać hukiem, wyskoczyła z za kępy krzewów niewielka antylopa. Była tak blisko, że choć drobnym śrutem, położyłem ją na miejscu. Rzucała się jeszcze, kurczowo prężąc szyję, ale znać było, że wnet skona.

Ali i Musu, zgodnie z obowiązkiem sagarich, szli cały czas po za mną, a czynili to tak bajecznie cicho, że zapomniałem już niemal o ich obecności. Teraz jednak dali znać o sobie. W paru susach dopadli antylopy; jeden przycisnął ją do ziemi, drugi, ostrym jak brzytwa nożem przesunął po jej gardle. Drgnęła raz jeszcze i zamarła. Wówczas związali jej nogi, przesunęli przez nie złamaną w pobliżu mocną gałąź, i tryumfalnie ponieśli zwierzynę do obozu.

Szedłem za nimi, przesuwając w myśli to, co mi o tutejszych krajowcach opowiadali znający miejscowe stosunki europejczycy. Naogół przewa-

GODY KSIĘCIA KNIEI.

(Obrazek przyrodniczo-myśliwski).

Pająki z niestrudzoną szybkością naprawiały swe misterne sieci. Rozpinały srebrne liny od drzewa do drzewa, na których zawisnąć miała sieć, zabójcza dla rozmaitych błonkoskrzydłych owadów. Przeciągały nici zerwane siłą wielkiego chrząszcza, który je, jak torpeda, pozrywał przebijając pułapkę. Robota szła raźno, gdyż najmniejszy wiaterek nie chwiał belkowaniem, ani nie motał nici.

Myśliwi, a niezawodnie i mieszkańcy kniei wnioskowali z tej pracy pająków, że będzie długotrwała pogoda.

Śliczną też była dnia tego lipcowa przedwieczerz. Kolumny sosen stały nieruchome, jakby wsłuchane w dochodzący zdaleka suchy trzask żniwiarek, lub w miarowy stuk młotka o kosę. Liście dębów, prażone słońcem, pochyliły się nieruchome, odchylając swą tarczę od gorących promieni słońca.

żało zdanie, że samalisi nie mają żadnej religji. Strzępy wiary mahometańskiej, w połączeniu z tłumem zabobonnych przesądów, zaciemniły raczej ich mózgi. Naprzykład świąt nie uznają zazwyczaj żadnych, ale czasem, sami nie wiedząc dlaczego czczą jakiś dzień, lub też, z również niewiadomej przyczyny, oddają pokłon jakiemuś drzewu, źródłu czy górze. Dokonują muzułmańskich ablucji, najchętniej jednak za pomocą piasku, nawet wówczas gdy woda jest w pobliżu. I zaznaczam to ostatnie jako odnoszące się bezpośrednio do mego opowiadania, jedzą tylko tę zwierzynę którą zabił, lub przynajmniej dobił ktoś z ich plemienia. Abissyńczycy zresztą, których kultura duchowa i umysłowa stoi znacznie wyżej, mają ten sam przesąd— jedzą to tylko, co padło od kuli lub noża ich współplemieńca.

Przypomina mi to, że pewnego dnia, w czasie dalszej już podróży, zdarzyło się, iż wieczorem, mieliśmy do rozporządzenia tylko sporą ilość ptactwa ubitego wyłącznie przez abissyńczyków, oraz antylopę zastrzeloną przezemnie. Gdy szedłem bowiem na polowanie, Musu, mając nieco skaleczoną nogę pozostał w obozie; Ali zaś, zamyślony, wlókł się daleko w tyle. Gdy więc po strzale wreszcie nadbiegł, z nożem w ręku, gotów do spełnienia tradycyjnego obrzędu, antylopa bezwarunkowo była już martwą.

Ciekaw teraz byłem co poczną somalisi; czy poprzestaną wyłącznie na rozbełtanej z wrzątkiem mące, nic innego bowiem nie mieli, a mrok uniemożliwiał dalsze łowy, czy też spożyją część zdobyczy abissyńczyków. Głód zwyciężył istotnie skrupuły i somalisi poprosili o mięso — ale nie swych czarnych współbraci, tylko nas, białych. Narazie jest to może zabawne, ale przy głębszem zastanowieniu przykre wrażenie robi ta bezgraniczna nienawiść dzieląca dwa plemiona wyrosłe na jednej ziemi.



AFRYKANKA.

(D. c. n.). *Bronisław Gordziałkowski.*

Nawet osina zamarła w milczeniu nie szemrząc liśćmi drgającemi przy najmniejszym podmuchu.

W ostępie zaczęły błądzić cienie, zwiastuny zachodu.

Leżące w dębowym podszyciu sarny przeciągnęły się leniwie i podniósłszy piękne główki zwrócone w przeciwne strony, chwilę wypatrywały i nadsłuchiwały, czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa. Upewnione o spokoju w ostępie, nagłym ruchem podniosły się i otrząsły z natrętnych komarów. Przy nieruchomo stojącej mamusi o oszronialej mordce, zaszeleściało coś nagle. To dwa małe koźlątka stęsknione za swobodną zabawą i gonitwą. Młódka zaczęła spokojnie zezować, kierując się w stronę małej halizny, porosłej wyczką i innemi przysmakami.

Opodal z paproci uniosła się główka o ruchliwych, czarnych, dużych, świecących oczach, osadzona na krótkim, pełnym karku. Pomiędzy łyżkami (uszami) świeciły białymi końcami, grube, czarne, ozdobione perłami parostki kapitalnego kozła, księcia kniei. Nie wstawał, śledząc uważnie, czy sarny żerujące obok niego nie dadzą znaku ucieczką, lub krzykiem przestrachu o niebezpieczeństwie. Zdaje się, czuł jeszcze na sobie siłę przenikliwych zielonych oczu nadleśniczego, wpatrującego się przed tygodniem w jego piękne poroże, bo ukrył na chwilę głowę wśród paproci.

Koźlęta rozpoczęły już zabawę w łapanego i chowanego, pozostawiając ostrożnie żerującej matce troskę o swe bezpieczeństwo.

Za chwilę powstał sarnik, zakryty splotem młodych zwartych dąbków.

Stał nieruchomo, kierując od czasu do czasu

„Żeby zwierzostan u nas nie upadał“.

Pełen interesujących przez swą szczerość i oryginalność zapatrywań artykuł, który pod podobnym tytułem ukazał się w numerze czerwcowym „Przeglądu“ wywołał ożywioną dyskusję, która ze względu na rozmaitość poruszonych kwestji i ujawnionych poglądów nieprędko się prawdopodobnie zakończy!

Chciałbym tu—zajmując się jaknajmniej, a tak rozrzewniająco pożegnanemi już przez Winawera „dawnemi, lepszemi czasami“—przedstawić do oceny ogółu myśliwych parę konkretnych wniosków, zdążających w kierunku zahamowania dokonującego się w naszych oczach gwałtownego upadku łowiectwa.

Kardynalnym warunkiem udania się jakiejkolwiek — choćby zasadniczo nawet najsłuszniejszej akcji — jest ideowa i organizacyjna jedność, a przynajmniej już zgodność i spółrzędność czynników zdążających do danego celu. Zagrożone więc bezpośrednio interesy żywotne naszego łowiectwa i jego krytyczna sytuacja wymagają dziś zjednoczenia się wszystkich uczciwych myśliwych pod hasłem ratowania resztek wymierającego zwierzostanu i spełnienia wspólnego honorowego obowiązku wobec społeczeństwa i wobec poniewieranej w swoich tworach przyrody! Ustać muszą w imię wspólności celów wszelkie nieuzasadnione uprzedzenia i antagonizmy, prowadzące do wzajemnego pożerania się w prasie i poza prasą, a przypominające walkę Don Kichota z wiatrakami — ustać muszą wszelkie jawne czy skryte dążenia do zmonopolizowania łowiectwa w rękach pewnych tylko stanów czy zawodów, i wszelkie szczere czy nieszczere próby uogólniania faktów czy zarzutów! Mityczne czasy, w których na każde kilka powiatów przypadało po kilkunastu tylko „wybranych i patentowanych“ (ale jak— przez kogo — na jakiej podstawie?) myśliwych, którzy objeżdżali kuligiem sąsiedzkie rewiry i zaopatrywali żądne dziczyzny spiżarnie w „towar“, przeminęły już i to z pewnością bezpowrotnie! Myśliwstwo zdemokratyzowało się, jak zresztą wszystko na świecie, i przestało być wyłącznie jaśniepańską rozrywką a dziś jest jednym z najszlachetniejszych sportów; równocześnie przedstawia łowiectwo poważną — choć może narazie niedocenioną — gałąź gospodarstwa społecznego i jako takie musi być dla każdego dostępnem. Nie można wprawdzie stawiać myśliwstwa na równi z każdym innym sportem, jak tego chce p. Swobodziński, gdyż zwierzyna nie da się masowo produkować, tak jak np. buty footballowe lub piłki do tennisa — i dlatego konieczne są pewne ograniczenia, które jednak nie mogą w żadnym razie iść po linji odbudowy już dziś nieaktualnych przywilejów. Każdy, kto zadokumentuje i czynami udowodni swe dobre chęci i podda się przepisom ustawowym i zwyczajowym, powinien być do społeczności łowieckiej dopuszczonym; tembardziej, że nie widzę absolutnie racji, żeby każdego np. właściciela większych leśnych obszarów uważać a priori za dobrego myśliwego, a natomiast każdego mieszkańca miasta za partacza i „sonntagsjägera“.

---

swe czarne, jak węgiel, chrapy pod nieuchwytny dla zmysłów człowieka wiatr, badając czy nie dojdzie go obrzydliwy zapach tytoniu, lub czy nie dosłyszy czających się kroków myśliwego. Zamiast zwiastunów niebezpieczeństwa drażniły jego nozdrza jakoś dziwnie podniecająco zapachy więdnących ziół, budząc świadomość energji i siły. Gwałtownym ruchem uderzył parostkami w gałązki dębowe, aż się posypały liście i równocześnie prawym biegiem zaczął tak silnie grzebać, że mech i ściółka jak rakiety unosiły się nad nim i poza nim. Sarny z jakimś rozkosznym lękiem popatrzyły na niego i jakby obawą kierowane postąpiły o kilka kroków dalej. Śledził uchodzącą młódkę, pojąc wzrok pięknemi jej kształtami i drgnął nagle z oburzenia. Ku tej, którą uważał za niedoścignione bóstwo rozkoszy i swą niewolnicę zarazem, zbliżał się powoli młody kozioł z sąsiedniego ostępu o smukłem porożu zdobnem w krótkie końce. Zatrząsł się z oburzenia i zamarł w bezruchu, a tylko krótki oddech zdradzał zdenerwowanie, potęgujące się świadomością, że to rywal.

Coraz bliższy odstęp dzielił ich od siebie. Książę czekał. Nagle ruchem jak błyskawica skoczył w kierunku rywala, chcąc mu zadać cios swoim silnym i ostrym orężem. Cios chybił, gdyż rywal uchyliwszy boku skoczył do ucieczki świadomy przewagi swego wspaniałego sąsiada.

Gonitwa trwała długo. Książę obawiając się jakiegoś podstępu przepędził rywala aż w trzeci ostęp nie napotykając oporu. Po pewnym czasie powrócił zdyszany, ale dumny ze swej siły i zwycięstwa. Odszukał towarzyszki i ciągnął za niemi

Słyszałem wprawdzie o niejednym radcy-rzeźniku lub nauczycielu-wnykarzu — ale również opowiadali mi naoczni świadkowie o pewnym właścicielu borów i lasów w Małopolsce, który zezwolenia na polowanie w swych lasach! Wspomniane jednak fakta nie mogą stać się podstawą do uogólnień; duszę myśliwską uczciwą i prawdziwą posiadać może tak samo mieszkaniec wsi, jak



Krośniewice. Posyp zimowy dla karmienia bażantów.

przed weselem córki urządził u siebie polowanie na „rogacze" bez różnicy płci (z naganką) dla celów spiżarnianych, lub o innym, który od lat dziesięciu nie wydał jeszcze ani grosza na hodowlę zwierzyny i nie odmówił jeszcze nigdy i nikomu i miasta — tembardziej, że dziś wskutek wojennych i powojennych przemian niejeden potomek właścicieli lasów i włości wegetować musi więcej niż skromnie w mieście, a naodwrót niejeden syn miejskiego handlarza lub wojennego do-

---

w cieniu zapadającego mroku, ku świeżej łące na skraju ostępu...

Mgły poranku przysiadły na zrębach i haliznach i kolebiąc się odkrywały sylwetki żerujących sarn, które w przeczuciu gorącego dnia wyległy prawie wszystkie, by napić się chłodnej rosy i napaść świeżą trawą.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca spędziły je do przyległych gąszczów w których po chwili odezwały się krótkie barytonowe pobekiwania kapitalnych kozłów władców poszczególnych zagajeń. Dawały one sobie wzajemnie znać, że są i przyjmują walkę o otaczającą je płeć piękną, z równie silnymi, — a zarazem ostrzegały młodsze przed zbliżaniem się do ich oblubienic.

Toteż szpiczaki — widłaki i młodsze szóstaki pokładły się na uboczu, czekając na jakąś sarenkę, niezaspokojoną lub zbiegłą od gwałtownego i brutalnego zachowania się władców.

Nasz książę po dwugodzinnym odpoczynku powstał i wyciągając zadni bieg w tył poza siebie wpatrywał się w kierunku odległej olszyny skąd go doszedł drażniący nerwy i zmysły miły dźwięk „piu". To wabiła jakaś samotna spragniona pieszczot sarenka. Zawrzała w nim krew poświęcającego życie samca, dla płci pięknej, więc ruszył lekkim truchcikiem do olszyniaku. Przemykał przez gąszcze wietrząc po trawach tropy sarn o miłym rozkosznym zapachu. Niedaleko olszyny natknął się niepostrzeżenie na małe koźlątko nieżywe z przebitym bokiem i odkrytemi wnętrznościami. Przystanął z przerażenia, a w wyobraźni błysnęła mu postać starego zwyrodniałego sąsiada z olszyny

stawcy rozpiera się na własnych pięciu tysiącach morgów!

Tem więcej niedopuszczalnem i szkodliwem z punktu widzenia ogólno-łowieckich interesów jest występowanie przeciw miejskim stowarzyszeniom łowieckim; istnienie ich jest może dla niektórych jednostek niesympatycznem, gdyż tworzą one konkurencję przy dzierżawie terenów gminnych, paraliżują lokalno-protekcyjne wpływy i podnoszą normy czynszów dzierżawnych, wynagrodzenia nagonki i straży łowieckiej i t. d. — z drugiej strony jednak mają one do spełnienia zadania tak wszechstronne i tak ważne, a dla kogokolwiek innego nieosiągalne — że występowanie przeciw nim zakrawa wprost na niepoczytalność. One bowiem są jedynemi oficjalnemi placówkami utrzymującemi i krzewiącemi zwyczaje i zasady łowieckie — one jedynie mogą prowadzić racjonalną gospodarkę na dzierżawionych i łączonych w kompleksy terenach polowań gminnych — one są powołane do udzielania opinji władzom administracyjnym, do koordynowania walki z kłusownictwem i pseudo-myślistwem, do wychowywania i nadzorowania początkujących myśliwych i wogóle do rozwijania działalności w szerszym zakresie, niedostępnej dla jednostek ze względu na brak czasu i funduszów. One wreszcie jedynie utworzyć mogą rusztowanie, na którem oprzeć się będzie mógł „Centralny Związek Towarzystw Łowieckich" w swej działalności, która inaczej byłaby nie do pomyślenia!

Pozatem zaś miejskie kluby łowieckie są jedyną deską ratunku dla tych wszystkich myśliwych nieposiadających własnych terenów, a uprawiających łowiectwo, jako ideał szlachetnej rozrywki, dającej im możność wytchnienia na łonie umiłowanej matki-przyrody po szarem i pełnem trudu i troski życiu miejskiem; nie można bowiem od nich wymagać, by w pokorze i z poddaniem się losom oczekiwali, aż ktoś raczy ich zaprosić na swe prywatne polowanie, albo, by jak Tartarin z Taraskonu zadawalniali się strzelaniem do rzucanych w górę czapek, lub wreszcie, by pocieszali się jak Indjanie, że „Wielki Duch" powoła ich kiedyś do krainy wiecznych łowów!

Sądzę więc, że każdy, kto dowie się o jakiemś nadużyciu popełnionem czy to przez jednostkę, czy stowarzyszenie, powinien o tem donieść kompetentnej władzy, a nie stawiać ogólnikowo niesykrystalizowanych i niedających się stwierdzić zarzutów w prasie — którą interesowałby raczej wynik spowodowanego dochodzenia i wymiar kary w każdym konkretnym wypadku!

A więc: Myśliwi wsi i miast, łączcie się! Nie kłóćcie się między sobą o to, czy i ile ma kto z was morgów, czy daje na śniadanie bigos, czy chleb z kiełbasą, czy strzela z „Midland'a" kaczki na 150 kroków, czy też nie i czy czyści obuwie pastą „Erdal"! A natomiast wszyscy wpisujcie się do miejscowych towarzystw łowieckich, płaćcie tam regularnie wkładki i przeforsujcie bezwarunkowo wejście danego klubu do „Centr. Zw. Stow. Łowieckich w Warszawie", by tenże mógł zyskać odpowiednią powagę i siłę, której mu potrzeba dla urzeczywistnienia wspólnych celów! Piętnujcie każdy wypadek przekroczenia przepisów i prawideł łowieckich nie przez ogólnikowe narzekania, lecz przez doniesienie i żądanie jaknajsurowszego ukarania! Prenumerujcie fachowe pisma łowieckie i donoście im o wszelkich faktach i spostrzeżeniach mających znaczenie ogólne lub wymagających interwencji na szerszej arenie!

(*D. c. n.*) *Czesław Mańkowski.*

---

samotnika o zabójczym ostrym orężu. Nikczemnik! pomyślał! On zabił koźlątko!

Namiętne z tęsknotą nawoływane „piu" zbudziło go z zamyślenia. Pomknął dalej! — do niej!

W olszynie owiał go miły chłód. W gibkich przeskokach, chwilami z wietrznikiem przy ziemi wypatrywał upragnioną sarenkę. W tem z poza paproci dojrzał siwy łeb o krwią nabiegłych świecach, najeżony ostrymi zakrwawionymi końcami zabójczego oręża. On! Morderca, ruszył ku niemu stępa.

Zadrżał książę! ale ustąpić nie pozwoliła mu duma. Skoczył na przeciw! Zderzyły się łebki i trzasnęły parostki. Morderca charczał ze złości, że spotkał godnego rywala. Uderzał szybko, doskakując do boków, w których pragnął zatopić ostre końce parostków, książę parował mężnie. Niestety, bocząc oparł się w chwili uderzenia o olszę i w tym momencie uczuł jakby cięcie noża na karku. Wykonał więc błyskawicznie pół obrotu na tylnich cewkach i uchodził ścigany do swego ostępu.

Rana na szyi nie krwawiła, tylko piekła. Zaszył się więc w gąszcz i leżąc rozmyśliwał o ostatnich przykrych przeżyciach.

Wstyd pokonanego i pragnienie zemsty odbierały mu sen.

Z zamyślenia zbudziła go młódka, przechodząca i wabiąca kochanka cichutko i ostrożnie.

Porwany szałem zmysłów skoczył za nią i pogonił w gąszcz, skrywający chwilę pieszczoty...

Popołudniu dnia tego pod wpływem dusznego ciepła zawrzał w całej kniei miłosny gon sarn.

Książę nie opuszczał ostępu, — patrolując tylko, czy nie zbliża się jaki intruz do jego skromnego haremu.

NA USZY.

Dzięki wielkiej uprzejmości pana generała Zwierzchowskiego i niezwykłej gościnności państwa Świętorzeckich poznałem w tym roku na Uszy nieznane mi polowanie na raki dające silne wzruszenie na pięknej rzece roziskrzonej w sierpniowym słońcu, pachnącej słodką wonią rozgrzanej mięty i ostrym aromatem wodorostów... Pod korzeniami nadbrzeżnych drzew i krzewów w czarnych mulistych jamach w głębi krętej i pełnej wirów rzeki jest całe królestwo racze.

Sposób polowania bardzo prosty. W siateczki przeznaczone do połowu raków zakłada się, jako przynętę, mięso kurczęcia. Kurczę z powodzeniem zastąpić może szpak lub wrona. Jedynie ptaki żywiące się rybami nie nadają się na przynętę.

Siatkę spuszcza się na sznurku do wody w ten sposób, by leżała równo na dnie rzeki. Jeżeli siatka źle przylega do dna wówczas raki podchodzą pod nią, następnie zaś chwytają mięso od spodu, a przy wyciąganiu sieci do czółna wpadają w wodę. Sznur na którym umocowana jest siatka musi być dostatecznie silny, by unieść ciśnienie słupa wody przy szybkim wyciąganiu siatki do czółna. Jeżeli sznur pęknie, siatka bywa często stracona wobec głębokości rzeki i mnogości wodorostów utrudniających wszelkie poszukiwania na nierównem dnie. Ciągnąć za sznur należy niezwykle energicznie inaczej bowiem raki mogą pouciekać. Przy szybkiem wyciąganiu siatki na powierzchnię woda ciśnieniem swoim uniemożliwia rakom ucieczkę. Do sznura przymocowane są pływaki biało-czerwono pomalowane, a dzięki temu zdaleka widoczne śród roślin wodnych.

Po założeniu siatek w miejscach obiecujących obfity połów zaczyna się polowanie. Od siatki do siatki podąża myśliwy na płaskodennem, wygodnem czółnie, wyciąga szybkim szarpnięciem siatki na powierzchnię i dobywa z nich racze łupy. Jeżeli zaś połów jest zły — myśliwy zmienia miejsce i rozpoczyna swe łowy na nowo. Że zaś to wszystko odbywa się na uśmiechniętej rzece o kwitnących brzegach — spokój i radość tej rzeki przenika w duszę naszą, kołysze ją do rozkosznych marzeń, upaja wonią mięty... Rzeka zielona jest jak nadzieja, a rosnące nad jej tonią modre niezapominajki nie dadzą nam nigdy o niej zapomnieć...

Gen. Zwierzchowski powtórzył mi pokrótce główne zasady połowu, wskazał miejsce, gdzie zacząć polowanie — i oto nasze łodzie rozdzielają się płynąc dwoma odnogami Uszy, by spotkać się dopiero w porze śniadania na umówionem miejscu.

Zapuszczam kolejno siatki pod czarnemi karpami wybrzeża. Zagłębiają się w zieloną topiel i cicho układają się na jej dnie. Tylko białe, brzozowe pływaki porwane prądem tańczą i skaczą na zimnej powierzchni, by ukoić się i uspokoić w objęciach roślin wodnych...

Cisza nad wodą. Granatowe i jasno-niebieskie ważki siadają na nieruchomych trzcinach. Rzeka pokryta jest u brzegów blado zielonemi tarczami liści nenufarów. Tu i owdzie, jak gasnące, białe gwiazdy, świecą z tej zieleni ostatnie ich kwiaty

---

Przed wieczorem wyszedł z sarnami w obrzednią starą dębinę wyszukując smacznych trawek na pokrzepienie swych sił nadszarpniętych miłosnym szałem.

Nagle z za kępy podrostu dębowego dojrzał przytuloną do dębu wysmukłą postać nadleśniczego i jego przenikliwe zielone oczy, wpatrzone w przeciwnym kierunku. Pewny w swem ukryciu książę, patrzył na myśliwego sądując jego zamiary z ruchów.

Nadleśny patrzył przez szkła w kierunku gęstej świerczyny z której wynurzył się ostrożnie o siwej mordzie sarnik i o ostrych zakrwawionych parostkach. Już trzeci rok chodził za nim nadleśny z zawziętością myśliwego hodowcy — pozostawiającego inne piękne kozły do rozmnoży, a dybiącego tylko na życie szkodnika degenerata. Morderca! zadrżał książę i tylko obawa przed zielonemi oczyma zatrzymała go na miejscu.

Morderca dojrzał pasące się niedaleko sarny i ruszył ku nim kłusem. Książę drżał! Spojrzał w kierunku dębu i spostrzegł jakiś ostrożny ruch myśliwego i w tym momencie targnął całą jego istotą przeraźliwy huk do grzmotu podobny. Książę i sarny znikły w ostępie.

Do uszu księcia dochodziło tylko rzężenie konającego mordercy.

I wtedy książe kniei — wzniósłszy swą piękną główkę beknął donośnie.

Wielka Nemezis! Zwycięstwo prawdy!

Stanisław Woszczyński.

Podanin, 25.VII.1925.

o słodkiej woni. W wodzie, jak srebrne iskry, błyskają małe rybki w zielonej głębinie.

Łódź nasza zapuściwszy u wybrzeży siatki powraca, by rozpocząć połów. I oto w pierwszej siatce odrazu wyciągam olbrzyma wodnego w czarnym pancerzu. Siedzi na „kurczuku“ i pożera go smakowicie. I tak w każdej siatce — po jednym.

A gdy te znalazły się w łodzi — nowy połów z równie dobrym wynikiem. Olbrzymie raki wszedłszy do siatki nie dopuszczają rywali. Mniejsze sztuki łapią się gromadnie. Jeżeli jednak olbrzym zasiadł na przynęcie — racza młodzież nie śmie wkroczyć do siatki: czeka aż groźny rycerz nasyci się i opuści miejsce biesiady. I dlatego łowić trzeba raki dotąd w jednym miejscu, dopóki nie zaczniemy wyciągać obfitszą... W jednym miejscu w pięciu siatkach wyciągamy trzydzieści parę wielkich raków! Obserwuję przytem jednego z nich, olbrzyma, jak wysuwa się się powoli z nory podwodnej — i znów cofa... Wychodzi wreszcie, okrąża przezornie sieć, a przekonawszy się, że z niczem podejrzanem nie jest połączoną — kroczy śmiało prosto do przynęty. Szybkie szarpnięcie sznura — i jest już na łodzi...

Zielono błękitny zimorodek miga w nadbrzeżnej gęstwinie szybkim lotem...

* * *

Złoty wieczór nadchodzi... Chłodny powiew przeciąga rzeką... Wracamy...

Spotykamy się z generałem. Mamy przeszło 200 wielkich raków. — Były dnie, że sam generał Z. łowił ich po 500. Usza jest nadzwyczajnie bogatą.



Sum wagi 2 pudy 10 funtów złapany w ordynacji Dawidgródeckiej
Koło suma stoi ks. Karol Radziwiłł.

pustych siatek. Bowiem znęcone znajdują się w jej pobliżu i po wyłapaniu największych, a co zatem idzie najgroźniejszych, bez obawy idą biesiadować.

Zmieniamy wreszcie miejsce połowu. Worek w łodzi napełniać się poczyna chrzęszczącą zdobyczą. Ogarnia nas zapał.

* * *

Po śniadaniu wspólnie zjedzonem z gen. Z. i po zmianie przynęty w siatkach płyniemy na Wielki Wir. Jestto przepaść wodna. Woda z zielonej staje się czarna.. W ciemnej otchłani tracimy jedną sieć, która uwięzła w wodorostach. Odnaleźć jej nie sposób! Sznur, przegniły widocznie pęknął przy jej wyciąganiu z wody... Zbyt głęboko tu na nasze sieci. Zakładamy je tam, gdzie sięgają dna.

I znowu wracamy zbierać zdobycz coraz to

Szczęściem raczego rodu jest fakt, iż w siatki łowią się na przynętę przeważnie samce; samice, jako słabsze, lękają się widocznie samców — nie włażą do siatek — i to ich ratuje przed zgubą...

* * *

Błękitniejący wieczór rozsnuwa swoje czarodziejstwo nad usypiającą rzeką. Z szumem wartkich skrzydeł przeleciały nad nami dzikie kaczki. W niebiosach rozlega się miarowo melodyjne. beczenie kszyka — niewidzialnego już w pierwszych cieniach zmierzchu...

Juljan Ejsmond.

Wstrzymanie pozwoleń na broń nie ochroni zajęcy.

W związku z artykułem p. W. Niedzwieckiego zamieszczonym w Nr. 16 „Przeglądu Myśliwskiego" p. t. „Kilka słów w sprawie polowania na zające", pochwalam myśl przedłużenia czasu ochrony na zające, ale nie mogę zgodzić się, aby wstrzymanie wydawania pozwoleń na broń myśliwską miało być radykalnym środkiem zapobiegającym kompletnemu wytępieniu zajęcy.

Jestem bowiem zdania, że racjonalnym sposobem polowania nikt zwierzyny nie wytępi. Więc chodzi nie o ilość wydanych pozwoleń, lecz o to komu te pozwolenia są wydane. Bo przecież p. Niedźwiecki nie może ręczyć że ci co świeżo dostali lub dostaną pozwolenia na broń będą „myśliwymi — kłusownikami". Zatem nie tędy droga.

Chcąc, aby strzelby mieli jedynie ci, co umieją uszanować honor myśliwski, podałbym inny środek, mianowicie: aby broń była wydawana tylko tym, którzy należą do kółek myśliwskich, zaś zarząd kółka niech się troszczy o to, aby w kółku byli tylko myśliwi, a nie strzelcy „mierzący przyjemność ilością zabitej zwierzyny".

Faktycznie bowiem jeśli będziemy mieli tylu co obecnie „pomykarzy", „sontags—jägerów" i innych „szabes—jägerów", to doliczając do nich kłusownictwo i wnyki, dojdzie do tego że myśliwi—gentlemeni będą robili wielkie obławy, jeśli przypadkiem wpadnie zdyszany gajowy krzycząc: „Zając, Mopanku".

Ażeby zaś ktoś nieznający zwierzostanu u nas t. j. w okolicach Siedlec nie wziął tego, co piszę za przesadę, to powiem że często zdarzały się wypadki takie, że na przestrzeni 300 ha. lasu mniej więcej 9 myśliwych polując z naganką miało na rozkładzie 8 zajęcy.

Natomiast nierzadko zdarza się, że człowiek idący wązką ścieżką w lesie łapie się na wnyk, a sam znam miejsce szczególnie lubiane przez zające, gdzie na przestrzeni 100 kroków można znaleźć zimą 20 i więcej wnyków.

Czyli, że przyczyna wytępienia zajęcy leży przedewszystkiem we wnykarstwie i kłusownictwie, a dopiero potem w tym, że zbyt wiele pozwoleń na broń jest w ręku takich „myśliwych", którzy się nie wahają zasiąść przy rżysku pod lasem i „pocichutku" zabić najmniej płochliwą w tym czasie samicę niszcząc w ten sposób odrazu kilkoro młodych. Walka z tymi „panami" jest trudna, lecz niemniej powinniśmy jej nie zaniedbywać.

J. Branicz.

WOLNA TRYBUNA.

Kilka słów w sprawie sportu.

W numerze 16 Przeglądu Myśliwskiego w artykule p. t. „W obronie sportu" p. Cz. Kączkowski gorąco stara się bronić różne sporty i usiłuje zbić, jakoby „mylne poglądy — głęboko sport krzywdzące" (vide odn. artykuł mój w Przeglądzie Nr. 13-14).

Na powyższą obronę pana K. pozwolę sobie dać następujące wyjaśnienia: W ogóle sportem, w dodatniem tego słowa znaczeniu, — sportem „par excellence" szlachetnym, rozumnym i przynoszącym, prócz rozrywki, pewne realne korzyści, nie można w żadnym razie nazwać sportów, które 1) narażają na szwank zdrowie ludzkie, i 2) uwłaczają elementarnym pojęciom estetyki. I tak sport wogóle możnaby podzielić na dwie grupy t. j. 1) sporty szlachetne i 2) sporty wulgarne, „minorum gentium". Do pierwszej grupy należy zaliczyć: myślistwo, szermierkę, wioślarstwo, kolarstwo (umiarkowane—nie wyścigi), konną jazdę (nie wyścigi), golf, tenis i t. d., — do drugiej zaś: w pierwszym rzędzie ordynarny, murzyńsko-chamski boks i piłkę nożną. Ta ostatnia bez względu na to, że jest bardzo rozpowszechnionym (jak również i boks) jest bezwarunkowo pozbawionym wszelkiej estetyki sportem (kopanie, wzgl. uderzania pięściami w głowę, kark, przy boksie). Nie wiem skąd p. K. przychodzi w konkluzji swej niefortunnej obrony do dość paradoksalnego wniosku, że „sport wymagający pracy zespołowej, a przez to przynoszący poważną (!) korzyść moralną (sic) nam Polakom tak potrzebną", czyli innemi słowy praca zespołowa (nóg) przynosi poważne korzyści moralne! Czyż nie jest to kapitalne? Chyba korzyść moralna może wypływać tylko z pracy umysłowej, duchowej, lecz nigdy fizycznej nóg i mięśni. Skądinąd młodzież

nasza często marnuje sporo tak drogiego czasu, który raczej na naukę poświęcićby należało, niszczy przytem ubranie i obuwie za ciężko przez rodziców zapracowane grosze; uczy się pozatem w bardzo często niedobranych towarzystwach chamów, wzgl. żydów, manier i obyczajów wielce niepożądanych i zgubnych dla inteligentnego młodzieńca.

Dalej pisze p. K. „zgadzam się, że stykanie się z drużynami żydowskiemi jest rzeczą wstrętną, nie jest ono jednak tak częste, aby usprawiedliwiło zupełne zaniechanie tego sportu przynoszącego tyle (!) korzyści (!?)“.

Ciągle p. K. pisze o rzekomych, problematycznych wielce korzyściach, które raczej są zgubnemi bardzo dla naszej młodzieży ze względów, które wyżej przytoczyłem. Młodzież nasza nabiera tylko grubjańskich manier, stykając się z wulgarnym populusem, lub żydami. Co do stykania się z temi ostatniemi, co p. K. łagodzi zwrotem „że nie jest to tak częste'' — zwracam uwagę pana K., że w Zagłębiu Dąbrowskiem jest to bardzo częste; dość przejrzeć liczne rozplakatowane afisze, lub kronikę „Iskry'', aby się przekonać o prawdziwości mego twierdzenia. Sławne drużyny „Makabi'', wzgl. „Hakoah'', są tu na porządku dziennym, — usilnie wciskają się one w szeregi naszej zdrowej młodzieży, aby ją zdeprawować. — a społeczeństwo nasze na to nie reaguje odpowiednio, tylko trwa w biernej gnuśnej apatji.

Toć starożytna Hellada, Sparta i Roma, prastara ojczyzna i kolebka wszelkich sportów, lecz sportów najszlachetniejszych, nie dawały nam podobnych przykładów profanacji i zatrucia sportu przez niepożądane żywioły i wogóle wskazywała jeno na sport w najdodatniejszem tego słowa znaczeniu. Igrzyska olimpijskie, to finezja estetyki, szyku i elegancji.

Dzisiejsza Ameryka i Anglja, słynne ze swej ekscentryczności i grubjaństwa, dały nam te sporty, które uwłaczają prawdziwie inteligentnym i szlachetnym sportom. A źródło tego wszystkiego płynie z dzikich murzyńskich krajów. Czy muzyka, czy tańce „modne'' (fox-trot, jazz-band etc.), czy wogóle „moda'' wstrętnie wyuzdana, podkasana, wydekoltowana do niemożliwych granic, haniebna, — toć to wszystko świadczy o absolutnym zaniku prawdziwie estetycznego smaku (a co gorsza kultury) z jednej, a o wkradaniu się zgnilizny moralnej z drugiej strony. I gdy niektóre narody cywilizowanej Europy systematycznie, acz pomału, otrząsają się z dzikich wpływów nowego lądu tej chamsko-zmurzynowanej Ameryki, my jednak dotąd w dalszym ciągu hołdujemy gorąco dzikim sportom, zapamiętale je uprawiając i dzikim modom.

Z ręką na sercu i bólem prawdziwym przyznać musimy, że staczamy się w otchłań upadku i, o ile nie otrząśniemy się co rychlej z modnych naleciałości, zachwiejemy silnie przyszłość naszą, gdyż tylko na zdrowych, jędrnych i silnych podstawach moralnych, naród silny i mocny egzystować i pomyślnie rozwijać się może.

Polska, z najdawniejszych czasów, słynąca z obyczajności i niezwykłej tężyzny moralnej, dzięki której ostać się i niepodległość swą, jakkolwiek tak bardzo krwawo i boleśnie okupioną, wrócić sobie potrafiła, sądzę i dziś otrząśnie się rychło z chwilowych zgubnych wielce naleciałości i stawi mężnie czoło ohydnym prądom silnie nam zagrażającym.

Stefan Ostrowski.

Wynik Konkursu wyżłów dowodnych.

Wynik Konkursu wyżłów dowodnych, odbytego 7 i 8 września 1925 w Kurzebieli i Zbytowie w powiecie strzelińskim. Wszyscy zgłoszeni do popisów kandydaci w liczbie 10 stawili się. Po pierwszym dniu konkursu przeszła „Diana“, wyżlica p. Kramarczyka z Strzelna drogą kupna w ręce p. Humnickiego. Resztę kandydatów egzaminowano we wszystkich działach pracy leśnej, polnej i wodnej.

I. nagroda i prawo zapisu do księgi rodowodowej polskich wyżłów dowodnych otrzymał „Ingo“ p. Gramowskiego;

II. nagroda i prawo zapisu do księgi rodowodowej polskich wyżłów dowodnych otrzymał „Ingo“ p. Gramowskiego;

III. nagroda i prawo zapisu do księgi rodowodowej otrzymał „Rex“ p. Przybyły;

III. nagroda i prawo zapisu do księgi rodowodowej otrzymała „Wisła“ p. Przybyły;

III. nagroda i prawo zapisu do księgi rodowodowej otrzymała „Ira“ p. Przybyły;

III. nagroda i prawo zapisu do księgi rodowodowej otrzymała „Wera“ p. Kramarczyka;

III. nagrodę otrzymała „Bessy“ zapisana już w księdze rodowodowej p. W. d. pod numerem szóstym, p. Jasińskiego.

Sędziowie konkursu: Antoni Unrug, Józef Suszczyński, X. Niedbał.